

**Barbara Osterloff
Giovanni Pampiglione**

**SERCE
NAD
WARSZAWĄ**



JUBILEUSZ
PAŃSTWOWEGO
INSTYTUTU
WYDAWNICZEGO
1946-2021

75



ROZMOWA pierwsza

BARBARA OSTERLOFF: Jak to się stało, że wybrał się pan w podróż z ziemi włoskiej do Polski, podróż długą, bo trwającą już pięćdziesiąty szósty rok? Zbieg okoliczności to sprawił? Przypadek? Czy może z rodzinnego domu wyniesiona fascynacja naszym krajem, polską kulturą, literaturą, teatrem?

GIOVANNI PAMPIGLIONE: Przyznam się od razu, że długo, bardzo długo nic o Polsce nie wiedziałem. Żyłem na prowincji i myśmy nic nie wiedzieli o dramatach wojny w kraju takim jak Polska. Fascynacja przyszła dopiero z czasem i nieraz podejrzewam, że to nie ja wybrałem, ale coś mnie „wybrało” – cały splot przypadków i niespodziewanych wydarzeń, a potem już świadomych wyborów, które sprawiły, że zakochałem się w tym kraju. Pisałem już kiedyś, że moi rodzice, Lidia i Emilio, na wsi szukali schronienia przed zagrożeniem bombardowaniami w Rzymie. Oczarowani sobą, tu, na prowincji, w Anticoli Corrado znaleźli gościnę w spokoju i łagodności natury – to był piękny czas, niczym w filmie Andrzeja Wajdy *Kronika wypadków miłosnych*. Urodziłem się w rozświetlonym światłem Rzymie w 1944 roku (tak sobie to wyobrażam), 23 lipca, a ta magiczna liczba przyniosła mi szczęście na długie lata. Był to pierwszy dzień zodiakalnego Lwa, czwarta nad ranem... przyszło zatem na świat Lwiątko niedowierzające,

że znalazło się w tym świetle, przynależące raczej do znaku Raka, do świata pełnego uprzejmości i delikatności. Tego świata potem zawsze szukałem w sobie. W wieku niemowlęcym miałem dwa domy: Palazzo przy ulicy Salaria 72, w połowie należący do rodziny Pampiglione ze strony Emilia, i odległy o rzut beretem kościół Metodystów przy ulicy Firenze (róg Via XX Settembre), w którym mieszkała rodzina mojej matki, Lidii Ammenti. Miałem czworo dziadków, bardzo szczególnych. Z jednej strony Rose Martin i Anselmo Ammenti, z drugiej – Emma Bassi i Guglielmo Pampiglione, barwne postacie, każda godna nie tylko pamięci, ale też utrwalenia na kartach literatury.

O dziadkach ze strony ojca mogę mówić z wielkim szacunkiem. Babcię Emmę – pianistkę solową, bardzo blisko współpracującą z Toscaninim – miałem przyjemność poznać bliżej. Dziadka Guglielma już nie. Ten znakomity radiolog w czasach, w których nie było ochrony przed promieniami rentgenowskimi, odszedł zbyt wcześnie, miał zaledwie 55 lat. Pamiętam go jedynie z opowieści jako pioniera radiologii, a także anarchistę, antyfaszystę, który nie płacił podatków rządowi Mussoliniego. Jednak Duce nie mógł go tknąć, ponieważ dziadek był radiologiem rzymskiej burżuazji, cieszył się jej wielkim zaufaniem, niekiedy nawet uwielbieniem. Emma i Guglielmo mieli trzech synów, absolwentów medycyny, których później odnajdziemy na całym świecie.

Dziadkowie zaś ze strony matki spotkali się w Vevey, we francuskiej Szwajcarii. Dziadek Anselmo pełnił posługę jako pastor protestancki. Wspierał włoskich emigrantów, którzy kuli w górach tunele pod nową linię kolejową Lozanna–Paryż, a traktowano ich jak zwierzęta. Podczas gdy dziadek walczył w ich obronie, poznał młodą pielęgniarkę Rose Martin. Umówił się z nią na wzajemne lekcje języka. On nie mówił po francusku, a bardzo chciał, ona z kolei pragnęła się nauczyć języka włoskiego. Ta wymiana języków miała, oczywiście, swoje skutki... powoli, powoli, spotykając się codziennie, zakochali się w sobie, a w końcu pobrali. Stworzyli nie tylko silną, nieugiętą parę, ale także, po narodzinach dzieci

– wspaniałą rodzinę. Wkrótce po zakończeniu wojny przybyli do Włoch na długą „wędrowkę” pomiędzy kościołami metodystów: Sestri, Wenecja (lata 30.) i wreszcie Rzym.

Moi rodzice, Lidia i Emilio, nie poszli w ślady dziadków. Wywodzili się z dwóch bardzo różnych kultur. Jedna anarchistyczna i burżuazyjna, druga zwrócona swoimi ideałami do ludu, toteż w czasach prawdziwego ubóstwa nie mieli przyszłości. Po iluzji historii miłosnej nastąpiło krótkotrwałe małżeństwo, które nie wytrzymało próby czasu. Po niecałych trzech latach Emilio, młody, dobrze zapowiadający się malarz, pojechał do Pragi na I Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów (towarzyszyli mu Giovanni Stradone, Piero Dorazio i Achille Perilli). Podczas gdy tamci wrócili szybko do kraju, on pozostał, by przedłużyć swój „Festiwal”. Żył „długo i szczęśliwie”, a potem... zniknął.

Moje dzieciństwo upływało więc z dziadkami. Adoptowali mnie, chronili i wychowali. Mama Lidia musiała się poświęcić pracy. Pracowała w firmie Esso Petrol, świetnie znała angielski, została sekretarką dyrektora, czyli zrobiła karierę (co dla kobiety we Włoszech lat 50. i 60. było dość wyjątkowe). Razem z dziadkami ruszyliśmy z Rzymu do Padwy (przedszkole, początek szkoły podstawowej), a następnie do Terni w Umbrii. Tutaj dziadek Anselmo, urodzony w pobliskim Arrone, założył kościół ewangelicki dzięki hojnemu wsparciu metodystów z Ameryki. Ja uczyłem się aż do matury w liceum klasycznym imienia Tacyta. Uczyli nas pięknie, ale wyłącznie rzeczy dawnych, czyli greki, łaciny, głównie Dantego (nie było żadnego otwarcia na współczesność). Miałem znakomitych profesorów, jak Dante Sotgiu, który uczył języka i literatury włoskiej, i Mizzi od języka i literatury łacińskiej i greckiej.

A jak zapamiętał pan samo Terni, nazywane „włoskim Manchesterem”?

Ach, *why not*, o tym nie wiedziałem! To było miasto przemysłowe z potężną hutą stali, wielokrotnie bombardowaną przez alianców podczas wojny. Miasto klasy robotniczej, liczące sto tysięcy

mieszkańców i podzielone, jak w udanych filmach Fernandela i Gino Cervi.

Ma pan na myśli popularne w latach 50. ubiegłego wieku komedie, których akcja rozgrywała się w małym miasteczku włoskim? Było ich w sumie bodaj pięć. Fernandel, słynny komik francuski, grał proboszcza Don Camilla, człowieka o gwałtownym usposobieniu. Ten proboszcz toczył wojnę z miejscowym burmistrzem (w tej roli występował Gino Cervi).

W Terni, podobnie jak w tych komediach, istniały dwa światy – jeden katolicki, bardzo potężny, i drugi komunistyczny, również silny, ale obdarzony mniejszą inwencją. Obydwa, przyznam, niezbyt zabawne. Ze światem komunizmu nie czułem bliskości, ale fakt, że nie będąc katolikiem, jako jedyny nie uklęknąłem podczas procesji z rzeźbą Madonny w centrum miasta, przypłaciłem wieczornym atakiem dziarskich chłopców, trochę jak z *Szewców* Witkacego, którzy obrzucili mnie kamieniami. Udało mi się schronić w kościele dziadka, który z wielkim przekonaniem (jak na owe czasy) głosił tolerancję między różnymi wyznaniem chrześcijańskimi. Konsekwencją tego wydarzenia było moje pierwsze teatralne przebranie, które wybrałem na czas karnawału. Wcieliłem się w postać Pecos Billa, obrońcy Indian.

To był legendarny kowboj z Teksasu, bohater filmu Walta Disneya i komiksów. Postać fikcyjna, zrodzona z ustnej tradycji Dzikiego Zachodu.

Jak wiadomo, Pecos Bill nie ma broni. Na kamienie odpowiada lassem i u ś m i e c h e m. Takim, jak ten niekończący się uśmiech moich dziadków: Anselma, który uratował około sześciuset obywateli włoskich uciekających przed prześladowaniami nazistowskimi ze względu na rasę lub ideologię, wyrabiając im fałszywe dokumenty, by mogli w porę emigrować, i babci Rose, która udzielała uczniom korepetycji z języka francuskiego bez żadnego wynagrodzenia. W jaki sposób dziadek fałszował te dokumenty sam, w całkowitej tajemnicy, do dzisiaj nie wiem. Był inwalidą, miał tylko jedną rękę. Wśród ocalonych większość była pochodzenia żydowskiego, ale nie tylko. Dzięki dziadkowi wielu ludzi

mogło z Włoch wyjechać, na przykład słynny filozof Ugo Della Seta wyjechał do Stanów, gdzie potem żył. Lewitan, malarz pochodzenia żydowskiego, też. Mam jego dwa obrazy, które podarował dziadkowi, z podziękowaniem za uratowanie życia (są u mnie w domu, w Rzymie).

Niewątpliwie, wzrastałem w pozytywnym, pogodnym środowisku: uczyłem się, założyłem kwintet muzyczny, który miał kontrakt na występy w dwóch najbardziej eleganckich miejscach w Terni – w Palazzo Drago, gdzie odbywały się imprezy i tańce, i w Grand Hotelu na popołudniowych herbatkach dla pań (niezbyt młodych, pochodzących raczej ze znudzonej burżuazji). Ale muzycznym clou okazał się szalony pomysł dziadka Anselma, który dowiedział się, że słynna grupa czarnych amerykańskich śpiewaków przyjedzie na piąty Festival dei Due Mondi (Festiwal Dwojga Światów) w Spoleto, aby zaprezentować *Black Nativity*, świetny spektakl z muzyką spirituals i gospel. Dziadek sprawił (nigdy się nie dowiedziałem, jak mu się to udało, bo w ogóle nie było pieniędzy), że wystąpili też dwa razy w Terni. Rano w jego kościele, a zaraz potem na centralnym placu miasta, gdzie wokół wspaniałej fontanny zagrali niesamowity koncert. Wielu mieszkańców obserwowało ten występ początkowo ze zdziwieniem i lękiem (był 1962 rok!). Odbywał się bez mikrofonów, w niezwykle wzniosłym nastroju – nie wiem, ile z tego duchowego uwznioślenia pojęli robotnicy ze stalowni w Terni, którzy w niedzielnych kurtkach w jednej kieszeni mieli egzemplarz komunistycznego dziennika „L’Unità”, w drugiej dziennik sportowy „Tuttosport”! Tak czy inaczej, był to wyjątkowy prezent od mojego niezwykłego dziadka, który, niestety, wkrótce nas opuścił. Ostatni rok liceum przeżyłem, pocieszając babcię Rose w jej samotności, a równocześnie przygotowując się do egzaminów maturalnych – przez trzy długie miesiące uczyliśmy się do egzaminów z przyjaciелеm ze szkolnej ławki Mariem Patrizzim i zdaliśmy je bardzo dobrze. Miałem 18 lat i postanowiłem, że jadę do Rzymu na studia uniwersyteckie.